

NA WSZELKI WYPADEK



— A po co ci ta siekiera?
— To na wszelki wypadek, gdybyśmy zgubili klucze od tego kufra.

ZŁOTE WESELE

Franciszek-Józef podczas po-
bytu w Alpach wdawał się chę-
tnie w rozmowę z wieśniakami.
Zwłaszcza lubił gawędzić ze star-
szą generacją.

Pewnego razu cesarz spotkał
pijanusieńkiego staruszka.

— I nie wstyd to tak się upi-
jać?

— Wasza cesarska mość, dziś
moje złote wesele... Pięćdziesiąt
lat minęło...

— A, to co innego, rozumiem.
Ale gdzie jest wasza żona, go-
spodarzu?

— Zostawiłem ją w domu.

— To nieładnie.

— A cóż tę jędzę obchodzi mo-
je wesele? Tamta żona już nie ży-
je, a obecnej nie pozwalam się
wtrącać do moich żalonych
wspomnień.

NAD MORZEM

W jednym z kin nad polskim
morzem wznowiono znany obraz
„W każdym porcie dziewczyna”.

Młoda warszawianka, która
właśnie była na przedstawieniu
z oficerem marynarki, jest zlekką
rozmarzona.

— Mam nadzieję — mówi — że
pan nie należy do kategorii tych
marynarzy, co to w każdym por-
cie mają narzeczoną.

— Ależ skądże — protestuje
marynarz — dużo jest jeszcze
portów na świecie, w których nig-
dy nie byłem.

TWARDY KURAK

Pensjonat w uzdrowisku. Go-
ście siedzą przy stole. Służąca
roznosi kurczętą. Jeden z biesiad-
ników nie może dać sobie rady z
twardym i żyłastym udkiem.

— Ten kurczak...

— Co pan może temu kurcza-
kowi zarzucić? — pyta gospodyn-
i, przesyłając jadłowitym wzro-
kiem lokatora.

— Nic, nic, chciałem tylko po-
wiedzieć, że ten kurczak wyłgił
się przypuszczalnie z jajka, ugo-
towanego na twardo.

ZABAWA W LISTONOSZA

Mały Tadeusz do mamy: — Ba-
wiliśmy się świetnie z Karol-
kiem w listonoszów. Ja powzuca-
łem do skrzynek na schodach po-
łową listów, a drugą połowę
wrzucił Karolek.

— A skąd wzięliście listy?

— Z twojej komody, mam. Te,
co to były przewiązane różową
wstążeczką.

OSZUSTWO

Pewien Szkot otrzymał raz w dniu
wypłaty pensji o 10 szylingów za du-
żo. W miesiąc później wypłacono mu
jednak o 10 szylingów mniej. Szkot
zdemerował się i wpadł w pasję.

— Co to za oszustwa! — krzyczał
przed kasą.

Sprawdzone pieniądze i okazało
się, że kasjer za pierwszym razem
popętnił błąd w obliczaniu.

— Dlaczego pan pierwszym raz-
em nie sprostował omyłki, a teraz
robi pan awantury? — zapytał ktoś
Szkota.

— Spowoduj głupiej omyłki nie bę-
dę wszczynał awantur, ale gdy taka
historia zdarza się poraz drugi, to
co innego...

FACHOWIEC

Mały Staś ciągnie psa za ogon.

— Stasiu! Nie rób tego, piesek mo-
że cię ugryźć! — upomina matka.

— O, mamusi, ja się nie boję. Pie-
sek z tej strony nie ma zębów!.. (i).

W obronie koniecznej

— Ja proszę wysokiego try-
bunału — mówił przed sądem
grodzkim przy ul. Wspólnej p.
K. Ł-cz, właściciel renomowa-
nej razury na Mokotowie, o-
skarżony, niestety, o pobicie
swego współpracownika, p.
Leona K. — ja, wysoki trybu-
nał, jestem człowiek dobro-
wolny i wyrozumiały — ale, co
tego dnia ten Leon wyprawiał,
to ludzkie pojacie przecho-
dzi. Naprzód, proszę wysokiego
trybunału, spóźnił się, a jak ja
mu po ludzku, że to trzeba na-
gusem być, nie człowiekiem,
żeby o dziesiątej do roboty
przychodzić, to tak na mnie
powiedział, jakbym nie szefem
był, a Frankiem od podawania
palla. „Patrzta go” — urgał —
„ministra tu struga, ósma go-
dzina mu się zażądała, niedłu-
go każe mi kołnierza na zielono
malować”. Tak mnie przy
wszystkich zdespektował i na
honor nastąpił. Nic, zmilcza-
łem. Ale, po drugie, patrzę, a
mojemu Leonkowi ręce cho-
dzą, każda osobno, nogi się gi-
bają, oczy białe, jak u szcu-
paka po żydowsku.

— Panie Leon — mówię, —
paneś pijany w drobne drza-
gi!

— A to twój zamydlony in-
teres, wyliniały pędzlu — on
na mnie, — za swoje piłem!

Per „ty” mnie spertrakto-

wał, proszę wysokiego sądu.
Ale i tę obrazę zmilczałem.
Dzwonek, gość wchodzi. Leo-
nek do niego, za brzytwę, o-
strzy, jak na wieprzka. Jakem
popatrzał na te latające ręce,
zimno mi się zrobiło, oczy żem
zamknął, uciekłem do komór-
ki. Niech moje oczy nie patrzą
na ten ubój rytualny. Zatkąłem
uszy i trzęsę się, proszę wyso-
kiego sądu, jak galareta. I tak

żeb mu wypudrował na szpa-
ka, a tamten nic. Taki jakiś za-
myślony był, nic nie uważał,
zapłacił, poszedł. Wchodzi dru-
gi. Mój Leonek jakiegoś fajeru
dostał.

— Moje uszanowaaaa... mo-
je uszanowaaa — kracze, ucie-
szony, lala koło gościa, fotel
odsuwa, przysuwa, ręce zacie-
ra, kłania się raz za razem,
mało mu do nóg nie pada.

nawpół martwy ze strachu —
głową na piersi opuścić i leje.
Zajrzałem nieznacznie: aż
mnie ciarki przeszły. Spi, swo-
łocz, jak suszał. Spi stojący, o
gościa się oparł i wezwał mu
na głowę leje. Facetowi strugi
po kołnierzu leżą, już cały mo-
kry, a ten nic. Leje i leje.

— Panie! — mówi gość —
może już dosyć tej wody?

Leonek się obudził.

— Jeszcze troszkę — mówi,
jakby nigdy nic. Trząchnął ze
dwa razy butelką i dopiero
przeszedł. Odetchnąłem.

Jużem myślał, że może
dzień szczęśliwie przejdzie.
Gdzie tam. Przyszła nieszczę-
sna ofiara, usiadła przed lu-
strem, a Leonek jak nie sko-
czy ku niej z brzytwą! Chłast,
chłast, patrzę... mity Boże! Z
gościa krew się toczy, jak z po-
derżniętej kaczki...

Nie wytrzymałem.

— A ty, taki owaki — krzyk-
nę — zbój, morderco! To tak?
To stałemu gościowi gardło
rozwalasz od ucha do ucha?
Krew z niego wypuszczasz, jak
z konia?

No i porachowałem mu tro-
chę gnaty. W obronie koniecz-
nej, proszę wysokiego trybu-
nału. W koniecznej obronie
stałego klienta.

Sędzia pokławił głową i za-
wiestił wykonanie kary na dwa
lata.

VERY.

W GRECJI



Przewodnik: — Wszystko, co
państwo tutaj zobaczycie ma naj-
mniej dwa tysiące lat.

DRAMAT NA ŻOLIBORZU

Za autentyczność nie ręczęmy,
jest to jednak opowieść, która
chętnie opowiadają na Żoliborzu.

Jedna z mieszanek tej dzielni-
cy, młoda i niedoświadczona mę-
żatka, udała się na grzybobranie
do puszczy Kampinowskiej. U-
zbierała ogromny koszyk grzybów,
przywiozła je do domu, zgotowa-
ła potrawkę w śmietanie i zapro-
siła przyjaciół.

Grzyby smakowały gościom, a
było ich tak dużo, że nawet ulu-
bienie gospodni, jamnik Azor-
ek dostał sporą porcję.

Właśnie wieczera dobiegała
końca, gdy raptem wpada służąca
i woła:

— Proszę pani, Azorek nie ży-
je!

— Ach — krzyczy pani domu —
moi kochani, jesteśmy wszyscy
otruci.

Strach pada na towarzystwo,
ktoś telefonuje po pogotowie, za-
jeżdża karetka.

Co dalej się działo, łatwo so-
bie wyobrazić. Gościom i domo-
wikom lekarz przepłukał żołądki,
policja spisała kilka protokołów,
reporterzy pewnego pisma sfoto-
grafowali dom i zrobili wywiad z
bratem kucharki. Najpóźniej zja-
wił się przedstawiciel władz sa-
nitarnych, aby zabrać psie zwłoki
do pracowni toksykologicznej. O-
kazało się jednak, że zamieszanie
wynikło wskutek nieporozumie-
nia, gdyż Azorek zginął pod ko-
łami samochodu ciężarowego.

SZKOCKA PLAŻA

Mac Jefferson postanowił ogło-
sić upadłość. Robi więc starania,
aby znaleźć jak najwięcej świad-
ków swego nieszczęścia. Jadąc do
sądu, wsiada do taksówki, nie pla-
ci za kurs i mówi do szofera:
— Zarwałem cię, mój biedny
człowieku. Pójdźmy teraz razem
do sądu i złożymy zeznania.

ROZCZAROWANIE



— Możemy już wyjść. Ten nie-
dolega nigdy w nią nie trafi!...

PIES-DEFAUDANT

Emeryt Mazurkiewicz, stary,
kawaler, mieszka na piątym pię-
trze w domu przy ul. Freta. Mie-
szka z pudlem, którego codzien-
nie posyła po papierosy.

Zdarzyło się pewnego razu, że
pies zgubił pieniądze i papiero-
sów nie przyniósł. Ale był to o-
dosobniony wypadek.

Mazurkewicz odwiedził sta-
rzy koledzy. Chcąc się popisać
przed przyjaciółmi, pan domu
przyzywa pudła, wkłada mu do
pyska złotówkę i mówi:

— Jazda, Reks, przynieś pacz-
kę Ergo.

Pies zbiegł po schodach, go-
ście czekają. Mija pięć minut,
dziesięć minut, wszyscy zaczy-
niają się niepokoić. Wreszcie je-
den z gości, wyjrzaawszy oknem,
woła do gospodarza:

— Spójrz no, co twój pies ro-
bi.

Pośrodku jezdni pudel pana
Mazurkewicza był właśnie zaję-
ty zalotami do przystojnej sucz-
ki. Oburzyło to jego właściciela.
To też wychylił się oknem i krzy-
knął:

Reks, ty gałganie! Teraz wiem,
na co wydajesz moje pieniądze!

CZY WSZYSTKO W PORZĄDKU?

Na stacji w Pyrach wsiada do
kolejki poważna jeźdźca z pakun-
kami. Zatrzymuje konduktora i
zaczyna badać:

— Czy wszystko w porządku?

— Niby co ma być w porząd-
ku? O co pani chodzi?

— Czy hamulce są wypróbowane,
czy maszynista jest trzeźwy?
Oburzony konduktor mruczy
coś groźnie pod nosem, a dama na
własne usprawiedliwienie do-
daje:

— Bo widzi pan, wiozę dwie ko-
py jaj do Warszawy i boję się, że-
by jakiej katastrofy nie było.

SKUTKI KRYZYSU

Pod kościołem św. Aleksandra
gawędzą dwaj starzy dziadkowie.
— Ciężkie czasy. Z jałmużną
coraz gorzej. Ledwo człowiek na
życie ubiera.

— Tak, tak. Ja na przykład po-
wprowadzałem różne oszczędno-
ści. Weźmy choćby tabakę. Daw-
niej zażywałem ją całym nosem,
a dziś tylko jedną dziurką.

SZLACHETNE SERCE

— Tadeu, czy ty ty przywiąza-
łeś patelnię kotu do ogona?

— Nie proszę mamy, to Jurek.

Mnie nawet do głowy nie przy-
szło.

— Paskudne dzieci! A dlaczego
nie przeszkodziłeś Jurkowi?

— Bo właśnie wtedy trzymałem
kota.

ZA PÓŹNO

Pan przodownik rozmawia
przez telefon: — Że co? Mówi
pani, że zegarek się znalazł, że
był w torebce. Zapóźno, proszę
łaskawej pani, złodziej jest już
pod kluczem.

REWOLWER

Żona dłuższy czas zdradzała Mac
Dolbina z jego przyjacielem. Wresz-
cie, wszystko się wydało. Zrozpaczo-
ny Mac Dolbin postanowił kupić pi-
stolet i żonę oraz siebie zastrzelić.
W tym celu wszedł do odpowiednio-
go sklepu.

— Polecam panu gorąco ten pięk-
ny pięciokalibrowy pistolet... — za-
chwalał sprzedawca.

— Nie, — powiedział. — Poproszę
o dwukalibrowy, bo to dla dwóch o-
sob,

MIŁOŚĆ W STRZELNICY



WYŚCIG PRACY

O jednym z posłów obecnego
sejmu opowiadają następującą
historię:

Zabierając po raz pierwszy w
życiu głos z trybuny, poseł ów był
wielce podniecony. Mówił szybko,
łykał słowa, nie przestrzegał pauz
między zdaniem. To też panien-
ka, stenografująca jego mowę,
śpieszyła się, łamała ołówki i ner-
wowo zmieniała kartki.

Tymczasem poseł mówił coraz
szybciej, jak gdyby go kto poga-
niał.

W pewnej chwili, urwawszy w
środku zdania, poseł zwraca się
do stenografistki:

— Na miłość Boską, niechże
pani pisze trochę wolniej, bo nie
mogę nadążyć.

NOWE CZASY, NOWE OBYCZAJE

Do dyrektora biura przychodzi
młody urzędnik i mówi:

— Panie dyrektorze, zgłaszam
prośbę o jeden dzień urlopu. Moja
matka...

— Ach — przerywa dyrektor —
przyjmij pan kondolencje. Oczy-
wiście, może się pan zwolnić, na-
wet na dłużej.

— Wystarczy jeden dzień, pa-
nie dyrektorze, bo moja matka u-
kończyła kursy lotnicze i jutro ma
skakać ze spadochronem.

POWAŻNE ZAMÓWIENIE

Z pociągu na dworcu Głównym
wysiada wspaniały ułan dwu-
mistrzowskiej wysokości, w ogromnych
butach z cholewami. Wychodzi na
ulicę, rozgląda się i zmierza
wprost do czystościelaka obuwia.

Na widok tak okazałego klie-
nta chłopak woła do kolegi:

— Te, Józek, chodźno mi po-
móż, bo dostałem zamówienie od
wojaka.

się biję z myślami: kwiknie,
czy nawet nie kwiknie? Ale ja-
koś nie. Wychodzę za „kwan-
dransik”, patrzę, gość ogołony
siedzi przed lustrem, przyglą-
dam się: żywy, tylko mu mój
Leonek głowę pudrem pudruje.
Pociągam go za rękaw.

— I cóż pan robisz, do stu
diabłów? — szepczę. A on, też
przez zęby:

— Paszot, stary pędzlu. Ro-
bię, co mi się podoba.

Batem się, żeby gość nie za-
uważył, zmilczałem. Leonek

Aż mnie zemdlilo i tylko
patrzę: da mu gość w pysk,
czy nie da?

Ale i ten gość jakoś tej ra-
dości nie zauważył. Siada i
każe strzyć.

Ostrzygł go mój Leonek,
niech ręka Boska broni. Facet
miał cały łeb w zębki, jak
trzymiesięczne żrebie ogon. A
połem z tym wezłałem, rany
Boskie! Przechylił gościowi
butelkę nad głowę i leje. Le-
je, leje, ażem zdrętwiał.

— Co on tak leje? — myślę.

PO AMERYKAŃSKU

Autorem tego żartu jest rzeko-
mo prezydent Roosevelt.

Stuprocentowy Amerykanin
wsiada do pociągu pośpiesznego
w Nowym Jorku. Pokazuje kon-
duktorowi bilet.

— Pan jedzie do Dishville na
Florydzie? — dziwi się konduk-
tor. — To pan źle się wybrał, bo
przed chwilą czytałem depeche o
zniszczeniu tego miasta przez
trzęsienie ziemi.

— Nic nie szkodzi — odpowia-
da jankes — gdy dojadę na miej-
sce, miasto będzie już odbudowa-
ne.

OSTROŻNOŚĆ NIE ZAWADZI

Mazurkiewicz, warszawiak z
dziada pradziada, wybrał się po
raz pierwszy w życie nad morze.
Zabrał ze sobą żonę. Znalazłszy
się na plaży, zdjął buty, zawiązał
spodnie i ostrożnie zaczyna bro-
dzić.

— Tylko nie zapuszczaj się da-
leko w morze — woła żona —
pamiętaj, że masz mnie i dzieci!

LOGIKA KOBIECA



— Przypuszczam, że pani wie,
dlaczego ja zatrzymałem?

— Prawdopodobnie nie jest
pan żonaty i bardzo się panu po-
dobam.

PRZED OKIENKIEM

Rozradowany jegomość wbiega
do biura meldunkowego, krótko
rozmawia z woźnym, podchodzi do
okienka i mówi:

— To tu się zapisuje noworo-
dów? Tu? Więc proszę pana,
mam syna...

Z okienka rozlega się głos biu-
rokraty:

— Mnie to nic nie obchodzi, syn
czy nie syn. Proszę zadeklarować,
jakiej płci jest osesek.

W RODZINIE WŁAMYWACZA

Rutynowany włamywacz, czło-
wiek żonaty, siada do kolacji w
domu rodzinnym. Zajada spokoj-
nie, rozmawia z żoną i nagle zry-
wa się od stołu.

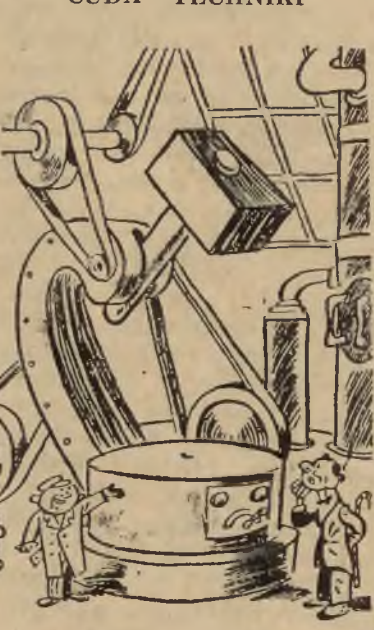
— Bolek, chodź no tu! — woła
na swego synka.

Kładzie chłopca na otomanie i
wali.

— Za co dziecko bijesz? — py-
ta żona.

— Za to, że znów zostawił od-
ciski palców na stoiku z konfitu-
rami.

CUDA TECHNIKI



— Oto najnowszy wynalazek.
Wystarczy tylko pociągnąć za
korbę, a po pięciu minutach ta
maszyna sama zgniecie panu
orzeczek.